THOMAS PYNCHON

W SIECI

Jako bohater powieści sensacyjnej Nowy Jork nie byłby detektywem ani mordercą, tylko tajemniczym podejrzanym, który zna prawdziwy przebieg wypadków, ale nie chce go opisać.

DONALD E. WESTLAKE

1

Jest pierwszy dzień wiosny 2001 roku i Maxine Tarnow, ciągle pamiętana przez niektórych jako Maxine Loeffler, odprowadza synów do szkoły. Tak, może są już w wieku, gdy nie trzeba ich odprowadzać, może Maxine jeszcze nie chce z tego zrezygnować, to tylko dwie przecznice, po drodze do pracy, lubi z nimi chodzić, więc co w tym złego?

Tego ranka na wszystkich gruszach drobnoowocowych na ulicach Upper West Side widać białe kwiaty, które rozwinęły się z pąków w ciągu nocy. Maxine zauważa, że promienie słońca przedostające się między dachami a zbiornikami na wodę padają na jedno z drzew na końcu przecznicy, które natychmiast wypełnia się światłem.

– Mamo, spójrz! – mówi Ziggy, jak zwykle zdyszanym tonem.

– Chłopcy, sprawdźcie, jakie to drzewo, dobrze?

Otis patrzy przez chwilę w milczeniu.

– Fantastyczne, mamo!

– Niezłe – zgadza się Ziggy.

Chłopcy idą dalej, a Maxine spogląda na drzewo przez pół minuty, po czym dołącza do synów. Na skrzyżowaniu odruchowo przechodzi na ich prawą stronę, aby osłonić ich przed kierowcami, którzy mogliby dla zabawy nagle wyjechać zza rogu i wpaść na przechodniów.

Na elewacjach budynków po przeciwnej stronie ulicy niewyraźnie lśnią plamy słońca odbitego w oknach mieszkań

wychodzących na wschód. Po ulicach przecinających Nowy Jork pełzają przegubowe autobusy, nowe na tej trasie, przypominające gigantyczne owady. Unoszą się stalowe żaluzje, przy krawężnikach parkują w dwóch rzędach ciężarówki, dozorcy polewają swoje części chodników wodą z węży. W bramach śpią bezdomni, nurkowie przeszukujący śmietniki idą do supermarketów z wielkimi plastikowymi torbami pełnymi pustych butelek po piwie i wodzie sodowej, by je sprzedać, przed budynkami stoją ekipy robotników, które oczekują na majstrów. Na przejściach dla pieszych podskakują w miejscu biegacze, czekając na zmianę świateł. Policjanci siedzą w kawiarniach, prowadząc śledztwa w sprawie trudności w zakupie bajgli. Dzieci, rodzice i niańki podążają pieszo i na kołach w różne strony, śpiesząc do szkół znajdujących się w okolicy. Połowa dzieci jedzie na nowych hulajnogach marki Razor – należy je dodać do listy kolejnych zagrożeń, przed którymi trzeba się mieć na baczności na ulicach.

Szkoła imienia Otto Kugelblitza zajmuje trzy sąsiadujące ze sobą eleganckie budynki z brązowego piaskowca między Amsterdam Avenue a Columbus Avenue, w bocznej uliczce, która nie pojawiła się jeszcze w serialu telewizyjnym *Prawo i porządek*. Patron szkoły to jeden z pionierów psychoanalizy, usunięty z kręgu bliskich współpracowników Freuda, ponieważ opracował teorię psychologiczną, która streszcza istotę ludzkiego życia. Wydawało mu się oczywiste, że poszczególne fazy ludzkiej egzystencji odpowiadają różnym zaburzeniom psychicznym, jak je rozumiano w jego epoce – solipsyzm w niemowlęctwie, histeria na tle seksualnym w okresie dojrzewania i na początku dorosłości, paranoja wieku średniego, demencja w starości... Wszystko kończy się śmiercią, która w końcu okazuje się „zdrowiem psychicznym".

„Doskonały moment, by to odkryć!", Freud strzepnął na Kugelblitza popiół z cygara, kazał mu opuścić apartament przy Berggasse 19 i nigdy więcej nie wracać. Kugelblitz wzruszył ramionami, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, zamieszkał na Upper West Side, otworzył

prywatną praktykę i szybko zdobył krąg wpływowych i zamożnych klientów, którzy szukali jego pomocy w chwilach cierpienia lub kryzysu. Podczas eleganckich przyjęć coraz częściej przedstawiał ich sobie nawzajem jako swoich „przyjaciół", po czym rozpoznawali w sobie bratnie dusze.

Trudno ocenić wpływ psychoanalizy Kugelblitza na mózgi pacjentów, ale w okresie wielkiego kryzysu część z nich radziła sobie na tyle dobrze, że po pewnym czasie zebrali fundusze na założenie prywatnej szkoły. Kugelblitz miał udział w zyskach, a program nauczania przewidywał, że uczniowie każdej klasy cierpią na inne zaburzenia psychiczne i są odpowiednio traktowani. Innymi słowy, dom wariatów z pracami domowymi.

Tego ranka, jak zawsze, Maxine zastaje na przestronnym ganku tłum uczniów, dyżurujących nauczycieli, rodziców i opiekunek z młodszym rodzeństwem w wózkach. Wśród zgromadzonych krąży dyrektor, Bruce Winterslow, witający zrównanie dnia z nocą białym garniturem i panamą – zna imiona i krótkie biografie wszystkich obecnych, klepie znajomych po plecach, prowadzi dobroduszne pogawędki, podlizuje się lub grozi, zależnie od potrzeb.

– Cześć, Maxi! – Przez tłum na ganku przeciska się Vyrva McElmo, co trwa znacznie dłużej, niż powinno. Maxine uważa powolność za charakterystyczną cechę mieszkańców Zachodniego Wybrzeża. Vyrva jest sympatyczna, ale nie ma wystarczającej obsesji na punkcie czasu. Wiele matek z Upper West Side wpadało już w poważne kłopoty z powodu zachowań, które Vyrvie uchodzą na sucho. – Dziś po południu znowu mam koszmarnie napięty plan dnia! – woła z odległości kilku kroków. – Nic strasznie ważnego, przynajmniej jeszcze nie, ale z drugiej strony...

– Nie ma problemu. – Maxine stara się przyśpieszyć rozmowę. – Zabiorę Fionę do nas, możesz ją odebrać, kiedy zechcesz.

– Dzięki, naprawdę. Postaram się nie przyjechać za późno.

– Może nawet u nas przenocować.

Zanim lepiej się poznały, Maxine parzyła dzbanek kawy

dla siebie, po czym zawsze przygotowywała herbatkę ziołową, aż Vyrva zapytała: „Mam na tyłku kalifornijskie tablice rejestracyjne czy co?”. Tego ranka Maxine zauważa kilka zmian w normalnym, powszednim stroju Vyrvy, złożonym z przypadkowo dobranych elementów. Przede wszystkim włożyła elegancki biznesowy kostium zamiast dżinsowego kombinezonu, ma upięte włosy zamiast zwykłych jasnych loków, a plastikowe kolczyki w kształcie motyli znanych jako danaidy wędrowne zastąpiła sztyftami z brylantami, cyrkoniami? Jakieś spotkanie w późniejszej części dnia, na pewno w interesach, rozmowa na temat pracy, może kolejna wyprawa w poszukiwaniu inwestorów?

Vyrva ukończyła Pomona College, ale nie ma stałej pracy. Ona i Justin przenieśli się z Doliny Krzemowej w Kalifornii do Alei Krzemowej w Nowym Jorku. Justin i jego przyjaciel ze Stanford University prowadzą niewielką firmę informatyczną, której w jakiś sposób udało się przetrwać pęknięcie bańki internetowej w zeszłym roku, choć bez irracjonalnej euforii, jak można by to nazwać. Jak dotąd są w stanie płacić czesne w szkole Kugelblitza, nie wspominając o czynszu za suterenę i parter w eleganckim budynku z brązowego piaskowca koło Riverside. Kiedy Maxine po raz pierwszy zobaczyła mieszkanie Vyrvy, poczuła ukłucie zazdrości.

– Wspaniały apartament! – zawołała z udawanym podziwem. – Może wybrałam niewłaściwy zawód?

– Bierzemy przykład z Billa Gatesa – odpowiedziała nonszalancko Vyrva. – Na razie gnieżdżę się w tej klitce, czekając, aż moje akcje nabiorą wartości. Jasne, kochanie?

Kalifornijskie słońce, nurkowanie z rurką, dni spędzane na lenistwie. Jednak od czasu do czasu... Maxine pracuje w swoim fachu dostatecznie długo i potrafi odgadywać to, co nie zostało wypowiedziane. „Powodzenia, Vyrvo”, myśli. Niezależnie od tego, o co chodzi. Zauważa kalifornijską opóźnioną reakcję, gdy Vyrva opuszcza ganek, po drodze całuje dzieci w czubki głów i wraca do porannej krzątaniny.

Maxine prowadzi niewielką agencję audytorską, zajmującą

się dochodzeniami w sprawie oszustw, o nazwie Znajdź i Zdemaskuj – kiedyś krótko zastanawiała się nad nazwą Znajdź, Zdemaskuj i Zapuszkuj, ale dość szybko zrozumiała, że brzmiałoby to jak pobożne życzenie, jeśli nie miraż. Agencja mieści się na tej samej ulicy, w dawnej siedzibie banku, a sufit holu jest na takiej wysokości, że w czasach, gdy jeszcze nie zabroniono palenia, w ogóle nie było go widać. Budynek wzniesiono jako świątynię pieniądza tuż przed krachem giełdowym w 1929 roku, w okresie ślepego delirium przypominającego niedawne puchnięcie bańki internetowej, po czym wielokrotnie go przebudowywano, aż zmienił się w labirynt gipsowych ścianek działowych, gdzie znaleźli swoje miejsce studenci, którzy zeszli na złą drogę, marzyciele palący haszysz, agenci promujący talenty, kręgarze, nielegalne biura dostarczające robotników pracujących na akord, mikroskopijne magazyny szmuglowanych towarów, a w tej chwili, na piętrze Maxine, agencja matrymonialna o nazwie Yenta Expresso, biuro podróży Tu i Tam oraz pachnący gabinet doktora Yinga, specjalisty od akupunktury i ziołolecznictwa. Na końcu korytarza znajduje się puste biuro, dawniej siedziba Paczek bez Ograniczeń, firmy rzadko odwiedzanej nawet wtedy, gdy działała. Obecni użytkownicy budynku pamiętają czasy, gdy koło drzwi, teraz zamkniętych na łańcuch i kłódkę, stali umundurowani goryle uzbrojeni w uzi, którzy kwitowali odbiór tajemniczych przesyłek i paczek. Szansa, że w każdej chwili może wybuchnąć strzelanina z broni maszynowej, dodatkowo motywowała pracowników, ale w tej chwili na drzwiach wisi tabliczka z napisem DO WYNAJĘCIA i lokal czeka na najemców. Po wyjściu z windy Maxine słyszy przez drzwi krzyki Daytony Lorrain, która kłóci się z kimś przez telefon. Wchodzi na palcach do biura, a Daytona wrzeszczy:

– Podpiszę te zasrane papiery, a potem się wyniosę! Chcesz być ojcem, to sam się zajmij tym gównem! – Rzuca słuchawkę.

– Dzień dobry! – mówi wesoło Maxine, może zbyt mocno akcentując drugi wyraz.

– Mam nadzieję, że to ostatni telefon tego dupka!

W niektóre dni wydaje się, że agencja audytorska Znajdź i Zdemaskuj budzi zainteresowanie wszystkich podejrzanych typów w mieście, którzy przechowują jej numer telefonu w swoich zatłuszczonych wizytownikach.

Na automatycznej sekretarce zebrało się trochę wiadomości: przyjaciele, telemarketerzy, nawet kilka telefonów mających związek z aktualnie prowadzonymi sprawami. Maxine odsłuchuje nagrania, po czym dzwoni do zaniepokojonego informatora, który pracuje w firmie w Jersey zajmującej się przygotowywaniem przekąsek. Negocjuje ona po cichu z dawnymi pracownikami Krispy Kreme – chodzi o nielegalny zakup ściśle tajnego systemu regulacji temperatury i wilgotności wypieku pączków, a także równie tajnych fotografii mechanizmu do ich formowania, które jednak okazują się zdjęciami części samochodowych zrobionymi przed laty w Queens, a następnie poddanymi obróbce Photoshopem, i to dość niefrasobliwej.

– Zaczynam dochodzić do wniosku, że w tej transakcji jest coś dziwnego – mówi nieco drżącym głosem informator Maxine. – Może w ogóle nie jest legalna?

– Może, Trevor, bo to przestępstwo kryminalne?

– To prowokacja FBI! – wrzeszczy Trevor.

– Dlaczego FBI...

– Eeee? Krispy Kreme?! FBI rutynowo współpracuje z policją!

– W porządku. Porozmawiam z ludźmi z prokuratury okręgu Bergen, może coś słyszeli...

– Zaczekaj, zaczekaj, ktoś idzie, zauważył mnie, och, może lepiej... – W słuchawce zapada cisza, tak jak zwykle.

Maxine niechętnie spogląda na teczkę najnowszej sprawy związanej z fałszowaniem stanu zapasów magazynowych – kolejnej z tak wielu, że już straciła rachubę. Tym razem głównym bohaterem jest dystrybutor gadżetów elektronicznych Dwayne Z. („Dizzy") Cubitts, znany na całym obszarze aglomeracji nowojorskiej z reklam telewizyjnych, w których występuje jako Wujek Dizzy. Pojawia się w nich na czymś w rodzaju obrotowego stołu,

który wiruje z wielką prędkością („Wujku Dizzy! Obróć ceny!”), i reklamuje automaty do porządkowania garderoby, przyrządy do obierania kiwi, laserowe otwieracze do butelek, kieszonkowe dalmierze pozwalające ocenić, która kolejka do kasy w supermarkecie jest najkrótsza, piloty telewizyjne z zamontowanymi alarmami, by nie można było ich zgubić, chyba że jednocześnie zgubi się urządzenie uruchamiające alarm. Żadnego z tych gadżetów nie ma jeszcze w sklepach, ale późnym wieczorem można je obejrzeć w akcji w reklamach telewizyjnych.

Dizzy kilkakrotnie przekraczał już bramy więzienia Danbury, ale ma dziwną skłonność do łamania prawa, co zmusza Maxine do analizowania zagadnień moralnych, które są równie karkołomne jak ścieżki w Wielkim Kanionie w Kolorado. Problemem jest urok i naiwność Dizzy’ego, posługującego się obrotowym stołem jako rekwizytem reklamowym – Maxine nie wierzy, że jest to tylko udawanie. Rozpad rodziny, publiczna kompromitacja, spędzenie pewnego czasu w więzieniu zwykle skłaniają normalnego kanciarza do poszukiwania legalnej, a wręcz uczciwej pracy. Ale nawet wśród drugorzędnych oszustów, którymi musi się zajmować Maxine, Dizzy stanowi wyjątek – jego krzywa uczenia się jest całkowicie płaska.

Wczoraj menedżer lokalnego magazynu Dizzy’ego na Long Island, gdzieś przy linii kolejowej Ronkonkoma, zaczął przekazywać coraz dziwniejsze informacje. Kłopoty w magazynie, nieprawidłowości w stanie zapasów, trochę nieprzyjemna sytuacja, pieprzony Dizzy, cholera! Kiedy wreszcie Maxine będzie mogła zacząć normalnie pracować, stać się nową Angelą Lansbury, zająć się poważnymi sprawami, a nie męczyć się wśród kretynów, którzy nie mają o niczym pojęcia...

Podczas ostatniej wizyty w magazynie Wujka Dizzy’ego Maxine wyszła zza ogromnej piramidy kartonów i zderzyła się z nim samym, ubranym w jaskrawożółty T-shirt z logo sieci sklepów Crazy Eddie – podążał śladem ekipy kontrolerów, złożonej z dwunastoletnich dzieci pracujących

dla firmy znanej z tego, że zatrudnia wąchaczy kleju, nastolatków uzależnionych od gier wideo, ludzi, u których zdiagnozowano niezdolność do krytycznego myślenia – po czym natychmiast zleciła im inwentaryzację zapasów magazynowych.

– Dizzy, cóż...

– *Oops! ...I Did It Again*, jak śpiewa Britney Spears.

– Spójrz tylko! – Chodzi tam i z powrotem, na chybił trafił wyjmując i unosząc zamknięte kartony. Część z nich, choć zapieczętowana, wydaje się pusta. Ktoś zapewne mógłby się tym zdziwić, ale nie Maxine. Do roboty. – Albo to jakiś cud, albo mamy tu do czynienia z niewielkim ubytkiem zapasów...? Nie powinieneś stawiać zbyt wielu pustych kartonów jeden na drugim, Dizzy. Wystarczy rzut oka na dolny rząd i widać, że się nie zapada pod ciężarem tego, co jest na górze, prawda? Zwykle to dość dobra wskazówka. Powinieneś kazać tym dzieciakom kontrolerom najpierw opróżnić budynek, a dopiero potem sprowadzać ciężarówkę do rampy wyładunkowej, by zawieźć ten sam zestaw kartonów do następnego sklepu osiedlowego. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Przecież sieci Crazy Eddie się udało! – Oczy ma wielkie jak lizaki w wesołym miasteczku.

– Poszli siedzieć, Diz. Niedługo dodasz do swojej kolekcji nowy akt oskarżenia.

– Hej, nie ma się czym przejmować, to Nowy Jork, ławy przysięgłych stawiają w stan oskarżenia nawet salami.

– A więc... co teraz zrobimy? Mam wezwać brygadę antyterrorystyczną?

– Hej, już wiem! Mogłabyś dać cynk kontrolerom! Na przykład anonimowo? Przez komórkę? Ukryć się i patrzeć, co się dzieje? – Stali w półmroku pachnącym kartonem i plastikiem, a Maxine, pogwizdując przez zęby piosenkę *Help Me Rhonda*, zwalczyła pokusę przejechania Dizzy'ego wózkiem widłowym.

Spogląda teraz na teczkę Dizzy'ego, nie otwierając jej, sprawdzając, jak długo wytrzyma. Ćwiczenie duchowe.

Rozlega się brzęczyk interkomu.

– Przyszedł jakiś gość o imieniu Reg, nie jest umówiony.

Ocalona. Odkłada teczkę, która niczym dobry koan i tak przestaje mieć jakikolwiek sens.

– Witaj, Reg. Wejdź, dupku! Dawno się nie widzieliśmy.

2

W istocie dwa lata. W tym czasie Reg Despard bardzo się postarzał. Jest dokumentalistą, który zaczął karierę od piractwa filmowego w latach dziewięćdziesiątych. Chodził z pożyczoną kamerą na pokazy przedpremierowe, filmował obraz na ekranie i nagrywał kasety, które sprzedawał na ulicy za dolara, czasem dwa, jeśli ktoś chciał tyle zapłacić. Często nieźle zarabiał, nim obraz wszedł do kin. Jakość produkowanych przez niego kopii pozostawiała wiele do życzenia – w tle szeleściły papierowe torebki widzów, którzy jedli lunch podczas projekcji, czasem ludzie wstawali w środku seansu i zasłaniali ekran na kilka minut. Reg nie zawsze trzymał kamerę nieruchomo i obraz falował, niekiedy powoli i sennie, a momentami ze zdumiewającą szybkością. Kiedy Reg odkrył, że kamera jest wyposażona w zoom, zaczął się nim bawić – powiększał szczegóły anatomiczne, twarze statystów w tłumie, eleganckie samochody widoczne w tle i tak dalej. Pewnego pamiętnego dnia sprzedał na placu Waszyngtona jedną ze swoich kaset profesorowi New York University, specjaliście od sztuki filmowej, który nazajutrz przybiegł w to samo miejsce i zdyszany spytał, czy Reg wie, jak bardzo wyprzedził najnowsze trendy w sztuce postmodernistycznej. Nazwał to „neobrechtowską destrukcją diegezy".

Ponieważ brzmiało to jak reklama terapii odchudzającej

opartej na wartościach chrześcijańskich, Reg zaczął tracić zainteresowanie, ale podekscytowany uczony się nie zrażał. Wkrótce Reg pokazywał swoje filmy na seminariach doktoranckich, po czym, naturalną koleją rzeczy, zaczął kręcić własne produkcje. Filmy dokumentalne, klipy muzyczne nieznanych grup, krótkie reklamówki pokazywane późno w nocy. Praca to praca.

– Chyba jesteś trochę zajęta?

– Jak zwykle o tej porze roku. Święto Paschy, Wielkanoc, rozgrywki National Collegiate Athletic Association, w sobotę jest Dzień Świętego Patryka, nudziarstwo, żaden problem, Reg. Chcesz mi zaproponować małżeństwo? – Można by to uznać za niegrzeczne i Maxine straciła przez to kilku klientów; z drugiej strony uwalnia się w ten sposób od nudziarzy.

Melancholijne pochylenie głowy.

– To nie wchodzi w grę od dziewięćdziesiątego ósmego... nie, czekaj, od dziewięćdziesiątego dziewiątego roku?

– Ach, tu obok jest Yenta Expresso, powinieneś tam zajrzeć, świetne miejsce na randki przy kawie, pierwsza latte grosso za darmo, jeśli poprosisz Edith o kartę stałego klienta. W porządku, Reg, skoro to nie sprawa osobista...

– Chodzi o firmę, dla której kręcę film dokumentalny. – Jedno z tych dziwnych spojrzeń, których Maxine nauczyła się nie ignorować.

– A konkretnie?

– Kwestie dostępu do informacji. Za dużo przede mną ukrywają.

– Mówimy o czymś nowoczesnym, czy będziemy się zajmować historią, archaicznym oprogramowaniem, którego nie da się odczytać, ograniczeniami sprzętowymi?

– Nie, to jeden z dotcomów, który nie upadł, gdy w zeszłym roku pękła bańka internetowa. – Pół decybela za cicho. – Może nie ma też żadnych ograniczeń...

Ach...

– Jeśli chcesz zdobyć ogólne informacje, nie musisz korzystać z usług audytora sądowego, bo znajdziesz wszystko w internecie. LexisNexis, HotBot, AltaVista, sporo sekretów

firmowych jest także na żółtych stronach...

– To, czego szukam, prawdopodobnie znajduje się w miejscu, gdzie nie dotrze robot żadnej wyszukiwarki.

– A czego szukasz?

– Zwykłej dokumentacji finansowej: rachunków, zestawień wpływów i wydatków, ksiąg kasowych, zeznań podatkowych. Spróbuj się temu przyjrzeć. Na pewno zauważysz coś dziwnego i wszystko okaże się ukryte daleko, daleko poza zasięgiem LexisNexis.

– Czyli gdzie?

– W ukrytej sieci. Żaden normalny użytkownik nigdy tam nie dotrze, wszystko jest zaszyfrowane, chronione przez dziwne przekierowania...

Och.

– Chyba powinien się tym zająć jakiś internetowy samuraj, bo ja tak naprawdę...

– Ktoś już nad tym pracuje. Eric Outfield, genialny absolwent Stuyvesanta, certyfikowany drań, skazany w młodości za włamania komputerowe. Mam do niego całkowite zaufanie.

– Co to za ludzie?

– Firma zajmująca się bezpieczeństwem informatycznym. Mają siedzibę w centrum Nowego Jorku, nazywają się hashslingrz.com.

– Słyszałam o nich, bardzo dobrze im idzie, ich akcje mają fantastyczny wskaźnik P do E, dostają mnóstwo zleceń.

– Moje cele są podobne. Żyć, prosperować. Tak właśnie to powinno wyglądać, prawda?

– Ale... zaczekaj... film o hashslingrz? Co można by pokazać? Nerdów gapiących się w monitory?

– W oryginalnym scenariuszu było wiele pościgów samochodowych, eksplozji, ale budżet... Dostaję od firmy maleńką zaliczkę, a poza tym mam pełny dostęp do wszystkiego. Myślałem tak do wczoraj i stwierdziłem, że powinienem się z tobą zobaczyć.

– Coś dziwnego w rachunkach?

– Chciałbym po prostu wiedzieć, dla kogo pracuję. Nigdy

nie zaprzedałem swojej duszy, cóż, nawet za kilka taktów rhythm and bluesa, i doszedłem do wniosku, że poproszę Erica, by się rozejrzał. Wiesz coś o ich szefie, Gabrielu Isie?

– Niewiele. – Maxine czytała o nim w czasopismach. Jeden z młodych miliarderów, któremu udało się ocalić majątek, gdy pękła bańka internetowa. Pamięta fotografie: kremowy garnitur Armaniego, robiony na miarę elegancki kapelusz Fedora. Mina człowieka, który za chwilę zacznie udzielać tłumom papieskiego błogosławieństwa... Zezwolenie od rodziców zamiast chusteczki w kieszonce marynarki. – W końcu mnie to wszystko znudziło, nie podobał mi się. Bill Gates wydaje się przy nim charyzmatyczny.

– To tylko maska. Ma ogromne zaplecze.

– Co sugerujesz? Mafię, tajne służby?

– Według Erica chodzi o jakiś ogromny plan zapisany w kodzie, którego żaden z nas nie potrafi odczytać. Może z wyjątkiem liczby sześćset sześćdziesiąt sześć, która często się powtarza. Ale, ale, czy ciągle masz pozwolenie na broń?

– Hm, owszem, czasami ją noszę... Czemu pytasz?

Reg unika wzroku Maxine.

– Ci ludzie... różnią się od normalnych pracowników firm informatycznych.

– W jaki sposób?

– Na przykład nie spotkałem ani jednego geeka.

– I tylko tyle? Reg, mam ogromne doświadczenie i przekonałam się, że do ludzi zajmujących się machinacjami finansowymi nie trzeba strzelać. Wystarczy publiczne upokorzenie.

– Tak... – Prawie przepraszająco. – Ale przypuśćmy, że chodzi nie tylko o machinacje finansowe? Przypuśćmy, że to nie wszystko?

– Coś mrocznego, złowrogiego. I siedzą w tym po uszy?

– Wydaje ci się to zbyt paranoidalne?

– Nie mnie, paranoja to czosnek w kuchni życia, jasne, nigdy nie jest jej za dużo.

– W takim razie nie powinno być żadnych problemów...

– Bardzo nie lubię, gdy ludzie mówią, że nie powinno być

problemów. Ale w porządku, rozejrzę się i dam ci znać.

– Świetnie! Czuję się jak Erin Brockovich!

– Hm. Cóż, dochodzimy do niezręcznej kwestii. Domyślam się, że nie chcesz mnie wynająć? Oczywiście nie mam nic przeciwko pracy za darmo w nadziei, że coś w końcu zarobię, ale pojawiają się tu pewne problemy etyczne. To trochę jak jazda za karetką pogotowia, prawda?

– Czy nie składałaś jakiejś przysięgi? Jeśli jesteś świadkiem oszustwa...

– To z serialu *Fraudbusters*, musieli go wycofać, bo dostarczał zbyt wielu pomysłów. Ale Rachel Weisz nie była zła.

– Wspominam o tym dlatego, że wyglądacie podobnie. – Uśmiecha się, wyciąga dłonie z uniesionymi kciukami, jakby szykował się do strzału.

– Cóż, Reg...

W ten sposób zawsze było można przemówić do Rega. Poznali się podczas rejsu statkiem wycieczkowym, choć można by to również interpretować inaczej. Po separacji z mężem, Horstem Loefflerem, w czasach, gdy jeszcze nie nadszedł Ten Dzień, Maxine spędzała zbyt wiele godzin w zamkniętych pomieszczeniach z opuszczonymi żaluzjami, słuchając w nieskończoność Stevie Nicks śpiewającej *Landslide* i ignorując resztę składanki nagranej na taśmie. Piła koszmarne drinki Crown Royal Shirley Temple na przemian z sokiem z granatów, codziennie zużywała kilka kilogramów chusteczek higienicznych, aż wreszcie jej przyjaciółka Heidi zdołała ją przekonać, że rejs statkiem wycieczkowym po Morzu Karaibskim powinien poprawić jej stan psychiczny. Pewnego dnia Maxine poczłapała do agencji turystycznej Tu i Tam, gdzie zobaczyła zakurzone biurka, wytarte fotele i podniszczony model transatlantyku wykazującego pewne podobieństwo do *Titanica*.

– Ma pani szczęście. Przed chwilą mieliśmy... – Długa pauza, brak kontaktu wzrokowego.

– Ktoś odwołał rezerwację – zasugerowała Maxine.

– Można tak powiedzieć. Cena okazała się niewiarygodnie niska. Nikt rozsądny nie odrzuciłby takiej oferty.

Rodzice byli uszczęśliwieni, że zaopiekują się chłopcami. Maxine, ciągle pociągająca nosem, znalazła się w taksówce z Heidi, która postanowiła ją odwieźć do portu. Dotarły do terminalu w Newark czy może w Elizabeth, który obsługiwał przede wszystkim frachtowce – statek wycieczkowy Maxine okazał się starym węgierskim kontenerowcem *Aristide Olt*, pływającym pod banderą Wysp Marshalla. Dopiero pierwszego wieczoru, po wyjściu w morze, Maxine dowiedziała się, że uczestniczy w zlocie AMBOPEDIA Frolix '98, corocznym spotkaniu członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Cierpiących na Zaburzenia Osobowości typu Borderline. Świetna zabawa, kto mógłby odwołać rezerwację? Chyba że... aaach! Maxine popatrzyła na Heidi stojącą na nabrzeżu – może odczuwającą coś w rodzaju *Schadenfreude* – która zmniejszała się na tle przemysłowego krajobrazu i w tej chwili była już zbyt daleko, by dopłynąć do niej wpław.

Wieczorem, podczas pierwszej kolacji, Maxine spostrzegła, że pasażerowie mają ochotę się bawić – w jadalni widniał transparent z napisem: WITAJCIE, BORDERLINOWIE! Kapitan wydawał się zdenerwowany i znajdował preteksty, by spędzać czas pod obrusem swojego stolika. Co półtorej minuty didżej puszczał półoficjalny hymn AMBOPEDII, *Borderline* Madonny z 1984 roku, i wszyscy śpiewali chórem: *O-verthe bor-derlinnne!* – szczególnie akcentując końcową głoskę n. Maxine uznała, że to chyba rodzaj tradycji.

W późniejszej części wieczoru zauważyła mężczyznę, który spokojnie krążył po sali z okiem przyklejonym do obiektywu kamery Sony VX2000 i filmował godne uwagi osoby, po kolei podchodząc do gości i nawiązując z nimi rozmowę lub milcząc. Okazało się, że to Reg Despard.

Maxine doszła do wniosku, że może to być sposób, by naprawić koszmarny błąd, jaki popełniła, i próbowała iść za nim wśród uczestników zabawy.

– Hej, śledzi mnie pani! – odezwał się po chwili. – W końcu zaczyna się dziać coś ciekawego.

– Nie miałam zamiaru...

– Nie, tak naprawdę mogłaby pani mi pomóc. Powinni

się trochę rozluźnić, nie być tacy napuszeni.

– Nie chciałabym pana kompromitować, powinnam ufarbować włosy już kilka tygodni temu, wydałam na tę imprezę sto dolarów w Filene's Basement.

– Myślę, że nie będą zwracać uwagi.

Cóż. Kiedy ostatni raz ktoś sugerował, nawet tak aluzyjnie, że Maxine nadaje się, by się z nią pokazać...? Może nie jest topmodelką, ale przynajmniej jako tako wygląda. Czy powinna się obrazić? Na ile?

Krążą między grupkami uczestników imprezy.

– Z tymi borderlinami nigdy nic nie wiadomo, czasami wszystko jest świetnie, czasami robią się niespokojni.

W tej chwili podchodzą do normalnie wyglądającego mężczyzny, który zbiera znaczki przedstawiające polowania na ptaki wędrowne i propagujące ich ochronę, zwane wśród kolekcjonerów „kaczuszkami". Towarzyszy mu żona, Gladys, wyraźnie mniej zainteresowana tematem.

– ...i marzę, by zostać Billem Grossem kaczuszek.

– Chyba że Bill Gross jest już Billem Grossem kaczuszek – zauważa jego żona.

Nie tylko federalnych kaczuszek, pamiętajcie, lecz wszystkich emisji stanowych – z czasem ten bezwstydny miłośnik kompletności zapuścił się w głąb kuszących moczarów fanatyzmu filatelistycznego i teraz musi mieć absolutnie wszystko: serie limitowane, emisje kolekcjonerskie, znaczki podpisane przez autorów, wczesne odbitki, emisje gubernatorskie...

– Nowy Meksyk! Nowy Meksyk emitował kaczuszki tylko od dziewięćdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego czwartego roku, kończąc perłą w koronie wszystkich kaczuszek, nieśmiertelnie pięknym wizerunkiem lecącej cyraneczki, autorstwa Roberta Steinera. Udało mi się zdobyć bloczek tych znaczków...

– Któregoś dnia – oznajmia radośnie Gladys – zamierzam je wyjąć z klasera, polizać swoim zaślinionym językiem i nakleić na kopertę z rachunkiem za benzynę.

– W tej chwili poczta ich nie akceptuje, kochanie.